

Szczęśliwi czasu nie liczą

Kuba i Kubańczycy. Wyprawa rowerowa dookoła „wyspy jak wulkan gorącej”.



Hawana, plac w pobliżu katedry, fot. Jacek Gwizdka.

Jerzy Adamuszek

Pojawiają się dwie chaty po prawej stronie, a parę metrów od drogi idzie nagi od pasa w górę młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna niosąc kilka związanych ryb. Pytam go o wodę i zostaję zaproszony do chaty. Idziemy wzdłuż rzeki, w której spotkany Julio codziennie łowi ryby na kolację. Przed chatą jego młoda, uroczą żona wiesza bieliznę na sznurku, a ich dwuletnia córeczka o pięknych blond włosach trzyma się jej sukienki. Obok wejścia do domu, na gumnie, leży gruba maciora spodziewająca się wkrótce prosiąt. Sama chata wygląda najskromniej z tych, które do tej pory widziałem na wyspie. Dach oczywiście słomiany, a ściany z desek, lecz przybitych poziomo. Drzwi otwarte na oścież, a w miejscu okien widzę jedynie prostokątne otwory.

W czasie, gdy gospodyni nabiera ze studni świeżą wodę, biorę malutką ślicznotkę na ręce - i o dziwo, wcale się mnie nie boi! Spoglądam ukradkiem na ojca dziecka - po kim odziedziczyła te blond, jak słoma włosy? Na Kubie należy to raczej do rzadkości, ale widzę, że gospodarz jest także blondynem, tyle że ciemnym.

Julio zakłada buty i woła, abym poszedł z nim zerwać parę kokosów. W pośpiechu kończę kubek zimnej wody i idziemy z powrotem w stronę rzeki, gdzie rosną palmy. Tutejsi chłopcy wiedzą, jak wspinać się na wysokie palmy, jedni robią to w

butach, inni wolą na bosaka. Stojąc pod drzewem należy bardzo uważać na lecące z góry ciężkie kokosy, gdyż odbity o konar, może wylądować prosto na głowie! Po rozcięciu orzecha próbuję mleczka kokosowego po raz wtóry i ponownie stwierdzam, że nie ma nic lepszego na pragnienie. Dziwi mnie bardzo, jak w tak wysokiej temperaturze wiszące na drzewach kokosy mogą utrzymać chłodny płyn w środku. Cóż za wspaniała izolacja termiczna łupiny i miąższu! Kończąc płyn z drugiego czuję, jak szybko regeneruję siły. Po trzecim Julio mówi:

- Zostaw miejsce na kolację, żona na pewno zaczęła już czyścić ryby.



Hawana, fot. Jacek Gwizdka.

Wracam pod chatę i gospodarze przekonują mnie, abym u nich przenocował, gdyż kolacja będzie dopiero za ponad godzinę, a wtedy robi się już ciemno. Zabierają się za sprawy gospodarstwa, ja idę z dzieckiem na spacer wokół domu. Wszystko mnie interesuje: co uprawiają, co jest w obejściu, jak wygląda dom na zewnątrz i jakie narzędzia rolnicze są pod szopą. Dziewczynka niesie jedyną zabawkę, jaką ma - małą szmaccianą lalkę. Nie widzę żadnych pieluch, smoczków lub innych rzeczy, jakich jest pełno w domach amerykańskich lub europejskich, w których są dzieci.

- Moja córka nigdy nie używała butelki ze smoczkiem, ani

smoczka - mówi gospodyni. - Najważniejszy jest pokarm z piersi, a poza tym karmimy ją tym, co sami jemy.

- W ogrodzie dzieje się tyle ciekawych rzeczy - dodaje Julio - że dziecko się nie nudzi.

Odbywam także „kąpiel” na zewnątrz polewając się zimną wodą, a potem robimy sobie wspólne zdjęcie przed domem. W międzyczasie przyjeżdża na koniu mężczyzna w moim wieku przedstawiając się jako ojciec gospodyni. Mieszka w głównej części wioski (te dwa domki, gdzie jesteśmy, stanowią sioło, do którego nie podłączono jeszcze elektryczności). Przybył tu ze zwykłej ciekawości, ponieważ ktoś ze wsi widział obcego człowieka na rowerze skręcającego w stronę domu jego córki.

Ojciec opowiada mi historię tego domku. Budował sam, a gdy córka wychodziła za mąż, przekazał go jej w wianie. Oprowadza mnie jeszcze raz dookoła, a potem wchodzimy do wnętrza, które jest podzielone na trzy części. W głównej izbie domownicy przebywają w dzień i gotują jedzenie dla siebie i zwierząt. Jest też sypialnia oraz komora. Zamiast podłogi równe, twarde klepisko. Na umieszczonej metr ponad ziemią betonowej płycie znajduje się otwarte palenisko.

- Jak funkcjonuje ten piec bez komina? - pytam stojącego przede mną budowniczego wskazując palcem na palenisko.

- Poczekaj, aż córka zacznie gotować, a zobaczysz, gdzie pójdzie dym.

Na „piecu” stoją trzy garnki każdy ma swoje przeznaczenie. W tym średnim czekają już: ryż, fasola i ryby do gotowania na upragnioną kolację, a w największym garnku woda do podgrzania. Z boku stoi plastikowe wiadro, które zostało zrobione przez rozcięcie na połowę 20 litrowej beczki i przymocowanie drucianego uchwytu. Napis cyrylicą zdradza, skąd beczka przybyła.



Hawana, fot. Jacek Gwizdka.

Ojciec gospodyni dosiada konia i odjeżdża, a ja jeszcze przez chwilę zabawiam maleńką ślicznotkę-blondynkę przed ułożeniem jej do snu. Kolację będziemy jedli na raty, ponieważ jest nas troje dorosłych, a tylko dwa nakrycia. Są też tylko dwa krzesła, ale Julio przynosi dla siebie pniak. W izbie panuje półmrok, gdyż lampa na tłuszcz zwierzęcy nie daje tyle światła, co lampa naftowa, ale widzieć można. Spod paleniska dochodzi pomrukiwanie maciory, która sama przychodzi na noc do chaty. Gospodarz przebiera się w ciemne spodnie i koszulę z długim rękawem, po czym stwierdza, że z ubioru ma wszystkiego po dwie sztuki: dwie pary spodni, butów, koszul i skarpetek, a spodenki zostały mu tylko jedne. Jego żona, zakładająca właśnie świąteczną sukienkę, jest w identycznej sytuacji.

- Małe dzieci mają teraz najlepiej - żartuje Julio - gonią cały dzień bez ubrania.

Widząc jak gospodyni niesie garnek z jedzeniem na stół, przypominam sobie, że miałem obserwować, czy w czasie gotowania dym wychodzi na izbę. Skoro robi to codziennie, a wcale nie czuć dymu, wynika z tego, że kurna chata nie jest taka zła.

Przede mną leży talerz i łyżka, a tym drugim nakryciem będą dzielić się gospodarze. Do picia stoi w mniejszym, aluminiowym garnku posłodzona brązowym cukrem woda z sokiem

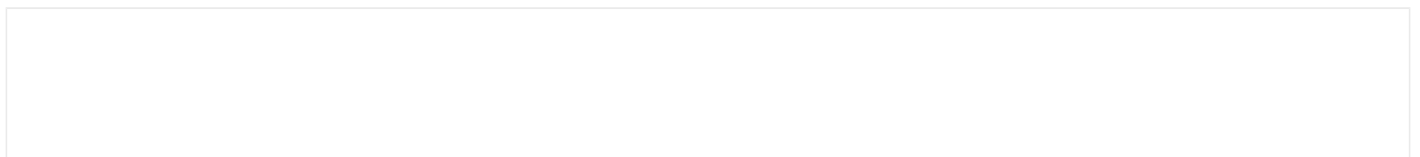
wyciśniętym z cytryny.

- Niestety, nie mam nic mocniejszego - przeprasza mnie Julio.

- Chęci się liczą i wasze dobre serce - odpowiadam. - Alkohol nie jest najważniejszy.

Jedząc przepyszne danie nie mogę się nadziwić i napatrzeć, jak ta młoda para potrafi się cieszyć tym, co ma. A mają tak niewiele, że tylko nasi pradziadowie mogliby to zaakceptować. W domu brak elektryczności, zegarka, zapalek i wielu innych podstawowych rzeczy, które prawie we wszystkich domach na Kubie już są. Tak, to prawda - teraz mogę stwierdzić, że prawie we wszystkich, gdyż jeszcze wczoraj nie uwierzyłbym, że młode małżeństwo żyje od paru lat dwa kilometry za wsią bez zegarka. Ale szczęśliwi czasu nie liczą! A że są szczęśliwi, widać to na każdym kroku - ich rozmowa, spojrzenia rzucone na siebie - jak na filmie. Nie sądzę, aby grali przede mną, gdyby chcieli, powodów do zdenerwowania się jedno na drugie znaleźliby co niemiara.

Jerzy Adamuszek, „Kuba to nie tylko Varadero”, Montreal 1997.



Galeria



Hawana, fot. Jacek Gwizdka.



Hawana, fot. Jacek Gwizdka.



Hawana, fot. Jacek Gwizdka.